



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Jerzemu Paszkowi myśli różne porządkiem abecadła wyłożone

Author: Ewa Kosowska

Citation style: Kosowska Ewa. (2010). Jerzemu Paszkowi myśli różne porządkiem abecadła wyłożone. W: J. Jakóbczyk, K. Kralkowska-Gątkowska, M. Piekara (red.), "Alfabet Paszka : Berent, stylistyka (i okolice), Żeromski " (S. 11-18). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Ewa Kosowska

Jerzemu Paszkowi myśli różne porządkiem abecadła wyłożone

Analiza kręgów tematycznych, w których Profesor Jerzy Paszek porusza się najswobodniej, wymagałaby wiedzy niestosownie nieproporcjonalnej do wiedzy Jubilata. Nie posiadam takowej, chociaż niektóre obszary Jego zainteresowań są mi stosunkowo bliskie, a nawet bardzo bliskie. Być może, gdyby los nie zdecydował inaczej, literatura przełomu XIX i XX wieku byłaby przedmiotem także i moich badań. Dlatego wybór autora, którego twórczość dostarczyłaby mi (po Paszku) intelektualnej podniety, jest trudny: i Berent, i Żeromski proponują swoje normy lektury: lektury niełatwej, obrośniętej wiekowymi palimpsestami interpretacji. Podejmowana w tych utworach problematyka, teraz już trochę anachroniczna, podana w szacie stylistycznie odległej od kanonów dzisiejszej mody, zdaje się odstraszać profanów. O ile Żeromski nadal uchodzi za „klasyka”, ale klasyka popularnego, na którym „wychowały się pokolenia Polaków”, o tyle Berent uznania szerokiej publiczności nie zyskał, chociaż właśnie dzięki Paszkowi przestał być „najbardziej znanym nieznanym” pisarzem młodopolskim. Zatem jeżeli już wybierać muszę, to chyba jednak Berent.

Berent kojarzy mi się z Paszkiem dialektycznie. Z jednej strony, obaj stanowią nierozłączną parę: pisarz — badacz. Z drugiej jednak, pamiętam ze studiów w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej wykłady profesor Janiny Garbaczowskiej, która jako pierwsza —

w perspektywie mojego filologicznego doświadczenia — podjęła trud interpretacji dorobku zapomnianego/zapoznanego po drugiej wojnie światowej młodopolskiego literata. Wykład monograficzny w lubelskiej Sali Kolumnowej gromadził sporo słuchaczy, ale dzisiaj trudno mi powiedzieć, czy za tą frekwencją kryło się zainteresowanie twórczością Berenta, czy raczej lęk przed działaniem „żelaznej ręki w aksamitnej rękawiczce”, którego to działania zapowiedzi zło-wieszczko pobrzmiewały w wykładzie inaugurującym cykl semestralnych spotkań z panią profesor. Wykładów Paszka nie słuchałam, więc nie mam odpowiedniej płaszczyzny porównania. Za to Paszek, w przeciwieństwie do Garbaczowskiej, wiele o Berencie napisał, przy czym w wypowiedziach obojga pobrzmiewało głębokie przeświadczenie, że czytać Berenta należy, a mówić o nim — warto.

Czy zatem Paszkowi należy się palma pierwszeństwa? Jeżeli nawet Garbaczowska wyprzedziła go w czasie i przewyższała entuzjazmem, to przecież prawdziwym popularyzatorem twórczości Berenta pod koniec XX wieku okazał się właśnie Paszek: popularyzatorem w najlepszym tego słowa znaczeniu — jako edytor i interpretator przyczynił się do wydobycia z niebytu tego, co w Berencie najciekawsze.

Dlatego Berent? Pierwsze skojarzenie: *Żywe kamienie*. Oksymoron tchnący optymizmem. Jak gdyby nie chodziło li tylko o ożywianie skamieniałej w figurach przeszłości, lecz o animowane skamienieliny, o życiodajną energię tkwiącą w samych minerałach. I zaraz potem kontrapunkt: *Próchno*. Pozostałości tego, co niegdyś było organiczne, a kiedyś może skamienieć. Takie zaczarowane koło, cykl Krebsa doprowadzony do kresu, transformacja jako nieuniknione przeznaczenie.

Zatem *Żywe kamienie* i *Próchno*.

Ewentualnie *Ozimina*.

Faktem jest, że te powieści polaryzują w sposób aż nazbyt oczywisty Berentową filozofię człowieka i natury, ambiwalencję życia

i śmierci lub śmierci i życia, i ten bezmiar wątpliwości, towarzyszący wymuszonej człowieczej zgodzie na nieuchronność. Tragiczna świadomość fachowców okazuje się nieco bezsensowna wobec spolegliwej mądrości dyletantów, którzy spotkanie z kostuchą potrafią traktować jako zaproszenie do tańca. Brak wiedzy czyni świat prostszym, chociaż groźniejszym. Dyletanci się boją, ale nie mają dylematów. Znaczący gubi niekiedy nadmierna znajomość rzeczy. Kwestionowanie dotychczasowych rozwiązań w imię poszukiwania nowych wprowadza myśl w zaufki zwątpienia i każe podejrzliwie traktować wcześniejsze autorytety.

Grzech zwątpienia jest pochodną spożycia zakazanego owocu. Niewiedza nie pozwala kwestionować prawd danych do wierzenia; wiedza natomiast domaga się weryfikacji bądź falsyfikacji. „Wątpię, więc jestem” zakłada uprzednie istnienie podmiotu myślącego, podmiotu poznającego i mającego świadomość niebezpieczeństw wynikających z procesu poznawania. Berentowi intelektualiści, tropiący nieścisłości i brak konsekwencji w świecie, wątpiący, a zarazem nieszczęśliwi i dumni ze swojego zwątpienia, ostatni prawdziwi moderniści, to zarazem pierwsi postmoderniści postrzegający iluzję uniwersalizmu kartezjańskich założeń. W młodopolskiej dekadencji tragiczna była nie tyle świadomość nieuchronnego „końca naszego świata”, ile programowy brak zgody na to, co musi po nim nastąpić. W tej niezgodzie, z pozoru jedynie przypominającej bierny opór, tkwiła znamienna sprzeczność: przecież niepodobna zachować dobrego mniemania o sobie samym i jednocześnie akceptować zmian, godzących w samo sedno dotychczasowych przekonań, przyzwyczajzeń i aspiracji. Człowiek honoru iść powinien w ślad za wartościami, którym był wierny przez całe życie.

Harmonia świata i tak zwany naturalny porządek rzeczy wymaga odchodzenia tego, co niegdyś przyszło. Ale czy nowe, które nadejdzie w pozornie uwolnione miejsce, będzie lepsze i ciekawsze? Bardziej wartościowe? Czy próchno naszych myśli, przekształcone w oziminę inspiracji, sprawi, że ci następni będą umieli z tych my-

śli (a więc z nas) skorzystać, nawet wówczas, gdy nie będą wiedzieli, z czego/kogo korzystają?

I jakim torem potoczą się losy kolejnych spuścizn? Ozimina trwa bezrefleksyjnie i bywa mierzwą dla wiosennych upraw. Cykl od uprawy do uprawy, automatyzm natury, trwanie życia w najtrudniejszych warunkach, witalność ziarna, nieuchronność rozpadu: reset — i można zaczynać wszystko od początku. Brutalna przerwa w dostawie energii, która nie jest przerwą chwilową, ale ostateczną, staje się początkiem procesu przetwarzania tego, co było, w to, co będzie.

Jakby mit eleuzyński, utrwalający sens przemiany i sprowadzający ją do umowy między greckimi bogami, był kluczem do zrozumienia ciągłości i trwania, zmiany i pozornego kresu.

Kore to uwieczniona pasywność, bierność granicząca z otępieniem; Demeter jest dynamiczna, przebiegła, wyrafinowana i zdeterminowana rozpaczą. Skąd zatem przewaga Kore, dlaczego jej wynegocjowany los, zaakceptowany przez zainteresowane bóstwa, ma być symbolem przemiany? Czyżby każda przemiana była tylko iluzją, pozorem, złudą, majakiem? Powierzchną tylko odmiennością, chwilową transformacją, obracającą się w gruncie rzeczy wokół tej samej osi? Andrzej Szczeklik wybrał na metaforyczną patronkę rozważań o zdrowiu i chorobie mityczną Kore; historyczny Hipokrates wydawał mu się chyba aż nazbyt rzeczywisty. Berentowe zmagania z nieuchronnością praw uniwersalnych i jednostkowym człowieczym indywidualizmem też zdają się podszyte przeświadczeniem o powierzchownej naturze zmiany. A może się mylę?

Lubelskie doświadczenia bardzo silnie wpłynęły na mój odbiór Berenta. Zwłaszcza, że z większością jego powieści zetknęłam się bardzo wcześnie, na pierwszym roku studiów, bez odpowiedniego przygotowania filozoficznego i historyczno-kulturowego. Myślowe uproszczenia, jakich dokonywałam wówczas po to, by cokolwiek zrozumieć z meandrów narracji prowadzonej w zawilej stylistycz-

nie formie, złożyły się na obraz, który niełatwo usunąć z zakamarków pamięci, a który z mojej dzisiejszej perspektywy w jakiś sposób krzywdzi i jednocześnie uwzniośla Berenta. Biograficzna norma lektury nie jest obojętna w skutkach. Lektura działa jak farmakon, posiada szerokie *spectrum*: czytanie przedwczesne zatrzuwa umysł, spóźnionemu — towarzyszy znudzenie lub przynajmniej rozczarowanie. Ponowny kontakt z tym samym utworem niekiedy sprawia, że przestajemy wierzyć w słusność własnych osądów i szukamy zewnętrznego wsparcia.

Łatwiej by mi było, jak sądzę, wejść w bliższy kontakt z twórczością Berenta, gdybym zetknęła się z nią dziesięć lat później. Być może stać by mnie było wówczas na samodzielną interpretację jego historiozofii, a „przyjemność tekstu” byłby oparta na zupełnie innej warstwie wrażeniowej. Z tamtej pierwszej lektury zostało mi wspomnienie fascynacji przymusem, pokonywania materii tekstu i oporów nieprzygotowanego na to spotkanie umysłu. Niewykluczone, że bez takiego doświadczenia mój osobisty model epistemologiczny ukształtowałby się zupełnie inaczej.

Mam więc, niejako z definicji, głęboki szacunek dla tych, którzy zdecydowali się podjąć rzuconą przez Berenta rękawicę, nawet gdyby była to rękawica pożyczona od Nietzschego lub Schopenhauera. Każdy kontakt z dziełem, które zmusza do intelektualnego wysiłku, jest swoistym pojedyńkiem. W przypadku Berenta ten pojedynek wymusza nie tylko dobrą znajomość sztuki interpretacji, ale i orientację w tradycjach polskiego oświecenia, wiedzę o losach idei postępu, o niemieckiej filozofii idealistycznej i myślowych konsekwencjach nietzscheńskiego przełomu. Takiego pojedynku niepodobna wygrać, toczy się go latami, niekiedy przez całe życie. Nie wystarcza szermierka słowna i znajomość podstawowych chwytów, trzeba poznać do głębi materię języka, w którym sformułowane zostały fundamenty atakowanych przemyśleń i wypada liczyć się z konsekwencjami własnych okazjonalnych taktyk i programowych strategii lingwistycznych. Tu potrzebna jest nie tylko znajomość rzeczy i szczypta przynajmniej talentu,

ale i żelazna konsekwencja, umożliwiająca realizację interpretacyjnych bądź polemicznych zamierzeń.

Najbardziej cenię w Paszku to, że ma odwagę być filologiem, że kocha słowo, umie się nim bawić, ale umie też o nie dbać. Że stoi na straży stylistycznej poprawności w czasach smętnego plenienia się (bez)sensów, że dostrzega nonsensy tam, gdzie inni radzi by już dostrzec uzus, że upomina się o wartość reguły w imię estetyki i zdrowego rozsądku. Gdyby był inny, to zapewne nie mógłby być berentologiem.

Obawiam się jednak, że Paszek to Ostatni Mohikanin w służbie starego filologicznego porządku. A przynajmniej jeden z ostatnich. Piętnowanie nieznamości reguł i wykraczania poza nie, podobnie jak skalpowanie Obcych, ostatnio wyraźnie wychodzi z mody, a nawet czasem budzi lęk i niechęć. Dzisiaj niektórzy radzi by oskalpować się sami, byle tylko obrosnąć w piórka postmodernistycznego, a w istocie post-normatywnego stylu. Morderstwa popełniane na języku zdarzają się codziennie, zatem kruszenie kopii w obronie reguł stylistycznych ma posmak donkiszoterii. Transplantacja obcych metodologii i transfuzja cudzych myśli sprawiają, że uczestnicząc we współczesnym dyskursie, zdajemy się zapominać o interesie własnego języka i wpadamy w pułapkę stylistycznych (między innymi) analogii. Potykając się o coraz to nowe terminy, których sens ustalony kontekstualnie domaga się permanentnego odśłaniania, niekiedy z dezynwolturą traktujemy prawa naszego gościnnego języka. Zmiana słownictwa jest dzisiaj chyba nieuchronna — zapożyczenia leksykalne pozwalają różnicować i wysubtelniać niuanse terminologiczne. Ale reguły gramatyczne i stylistyczne dotychczas trzymały w korbach cały system. Bez niego utracimy sprawdzone narzędzie porozumiewania się, więc Paszkowa wojna w obronie konwencji jest wojną sprawiedliwą. Ale czy ktoś kiedyś przejmie lutnię po Bekwarku?

Paszek realizuje się w żywych sporach; ma niewątpliwy talent polemiczny i nie lęka się szermierki na agorze. Ma irytujący niekiedy

zwyczaj głośnego wypowiadania sądów niepopularnych, bywa, że niesprawiedliwych, chociaż zawsze płynących z głębokiego przekonania o własnych racjach. I, co nieczęste, potrafi także publicznie przyznać się do błędu. Ma zdrowy dystans do świata, do innych i samego siebie. Niezły z niego P(t)aszek.

Radość życia i poczucie humoru rzadko go opuszczają. To nieczęste zjawisko. Na pewno nie Berent był w tym zakresie jego mistrzem; prędzej posądzałbym go o koneksje z Adolfem Nowaczyńskim. A sentyment do sarmackich tradycji, niekiedy ujawniany w skomplikowanych wywodach na temat rzekomych (?) paranteli z panem Paskiem, z biegiem czasu w upodobaniach Pana Paszkowych coraz jest wyraźniejszy.

Scrabble. No cóż — wszyscy znają tę słabość, będącą źródłem językowej siły i profesjonalnej sprawności Profesora. Komentarz wydaje się zbędny.

Temperament raczej choleryczny. Chociaż z pozoru niewinność wcielona. Oczywiście do czasu. *Homo sum, humani nihil...*

Upodobanie ma Jerzy do korzystania z przyjemności wszelakich, oskomę na życie, a nade wszystko umiejętność smakowania i przystawek, i dań głównych, i wszelkiego autoramentu deserów. Można mu zazdrościć i apetytu, i kondycji, i czujności zarazem. Chętnie zanurzy stopę w każdym niegroźnie wyglądającym strumyku, pod warunkiem że woda nie jest zbyt zimna.

Wartość dokonań człowieka nie zawsze przekłada się na prostą sumę jego dorobku. Dotychczasowy dorobek profesjonalny Profesora Jerzego Paszka prezentuje się okazale, jego fascynacja Joyce'em, wkład w badania nad stylistyką, nad twórczością Żeromskiego i Berenta jest znaczący i wzorotwórczy. A mimo to sędzę, że gdyby nie było mi dane rozmawiać z nim osobiście, obserwować jego rozmaitych akcji i reakcji, podziwiać erystycznej sprawności — byłabym o coś zubożona.

Yanomami, plemię żyjące na pograniczu Brazylii i Wenezueli, przedstawione przez Napoleona Chagnona jako jedno z najkrwawszych i najokrutniejszych, w dowód szacunku spożywa spopielenne szczątki swoich bliskich. Próchno staje się częścią żywych. Od czasu Pasteurowych badań nad fermentacją fakt, że „gnicie to życie” stał się tajemnicą Poliszynela. Rozmaicie zamykają się cykle. Berent, który studiował w Zurychu nauki przyrodnicze i tam się z nich doktoryzował, był jako jeden z niewielu polskich pisarzy naukowo przygotowany do analizy przemian organicznych. A mimo to właśnie w literaturze szukał lepszych narzędzi do zilustrowania natury nieuniknionych przekształceń. Paszek z pozoru poprzestaje na analizie językowych i literackich manifestacji Berentowych poszukiwań. Z pozoru, bo w istocie rzeczy, jak każdy profesjonalista, dąży do postawienia właściwych pytań natury zasadniczej i uzyskania satysfakcjonujących odpowiedzi. Jest głębiej zakorzeniony w *Nurcie* oświeceniowego racjonalizmu, niż sam chciałby się do tego przyznawać. Taka karma.

Zakończenie tylko z pozoru jest naturalną konsekwencją rozpoczęcia. Początek, jeśli jest prawdziwym początkiem, wymaga wyraźnego gestu inicjacji. Wymaga aktu przerwania (lub zakończenia) czegoś i rozpoczęcia czegoś innego. Natomiast zakończenie może być rezultatem świadomego zamierzenia, ale także efektem formalno-logicznej konsekwencji albo zwykłej konsekwencji, albo wyczerpania wątku/myśli/siły, albo szacunku dla reguł retorycznych i praw kompozycji, albo... Może być także iluzją, pozorem samego siebie, zaczynem, inspiracją kolejnego gestu nowego początku.

Jeżeli jednak zasada kompozycji tej całości jest pochodną formalnego konceptu, opartego na luźnym połączeniu różnych skojarzeń, to zakończenie jest tylko pozorem zakończenia, elementem konwencjonalnej ramy, która wszakże nie ogranicza, a jedynie oddziela dotychczasowy potok myśli od innych, które mogą, mogłyby lub będą mogły pojawić się jeszcze pod wpływem osobowości i dorobku Profesora Jerzego Paszka.